

Pandemiczna zadyszka

Polska w ciągu ostatniego miesiąca stała się obok Chorwacji liderem przyrostu nowych zachorowań w Europie. Pod względem liczby zgonów należymy niechlubnie do światowej czołówki. Ale prezydent Andrzej Duda zwołał Radę Gabinetową, aby poznać rzeczywiste stadium pandemii, i dowiedział się od premiera i ministra zdrowia, że „sytuacja wygląda lepiej, niż się tego spodziewali”. A co usłyszały od lekarzy i ratowników, którzy resztkami sił wypełniają grafiki dyżurów na oddziałach covidowych albo godzinami dotleniają duszących się pacjentów w karetkach, poszukując dla nich miejsc w szpitalach?

Czy powiedzieliby mu to, co mówią między sobą: że duża liczba zgonów to nie tylko efekt wysokiej trzeciej fali, ale też wina narzuconej przez rząd chaotycznej organizacji pracy? Bo kto dzisiaj chorych z covidem – bardzo niespecyficznym zakażeniem manifestującym się w wieloraki sposób – leczy na przypadkowych oddziałach? Kto się trafi: jednego dnia rezydent, drugiego ginekolog lub okulista. Nawet jeśli będzie to doświadczony medyk, to kurs z chorób zakaźnych musiał



przejszć w biegu. W wielu miejscach nie da się zapewnić ciągłości leczenia, bo zespoły dyżurników stale się zmieniają, a Ministerstwo Zdrowia nie zapewniło lekarzom z łapanek żadnych standardów postępowania. „Kto przyjdzie na dyżur, leczy po swojemu” – opisuje lekarka ze szpitala, do którego trafiła z przydziału wojewody.

Prezydent stwierdził też, że „rozpędzający się program szczepień doprowadzi do pokonania wirusa”. I znów blamaż! Bo szczepionki przeciwko SARS-CoV-2 nie zabijają go, tylko przed nim uodparniają – w ten sposób można

opanować pandemię, czyli lepiej ją kontrolować (bo nawet jeśli ktoś z zaszczepionych zakazi się, przejdzie infekcję łagodniej), ale zarazka pokonać się nie da. Przed nami kluczowe tygodnie i test na sprawność programu szczepień, bo obiecane przez premiera duże dostawy kilku szczepionek jednocześnie trzeba będzie umiejętnie spożytkować, a z logistyką nie jest najlepiej i zainteresowanie szczepieniami, według sondaży, spada. Małe punkty ledwo zipią pod nawałem rozmaitych sprawozdań i zmian w harmonogramie kolejek, zaś duże szpitale węzłowe otrzymują w miesiącu po 250 dawek, choć tyle mogłyby wykorzystać w dwa dni.

Na horyzoncie majaczy też ryzyko pojawienia się w Polsce nowych wariantów koronawirusa – spośród już rozpowszechnionych na świecie powinniśmy się obawiać zwłaszcza brazylijskiego P1, ponieważ obniża skuteczność dostępnych szczepionek i jest niebezpieczny dla ozdowieńców, oraz południowoafrykańskiego B.1.351, który przełamuje odporność poszczepienną. Dobre samopoczucie prezydenta ma więc kruche podstawy, ale tak to jest, kiedy słucha się zauszników zamiast ekspertów. (PAW)

Więcej o szczepieniach s. 12.

Scenariusz za hotel

Dyrektor Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej wydał zarządzenie (nr 16/2021), w którym reguluje, jak należy ubiegać się o jego zaświadczenie umożliwiające ekipie filmowej wynajęcie pokoi w hotelu na czas trwania zdjęć do filmu. Bo w związku z pandemią z hoteli można korzystać tylko w celach służbowych i to ściśle określonych – tak stanowi rozporządzenie, w którym wskazuje się właśnie na dyrektora PISF jako organ mający wydawać zaświadczenia o „profesjonalnym charakterze produkcji utworu audiowizualnego lub filmu, realności i liczby dni zdjęciowych oraz czasu niezbędnego do przygotowania planu zdjęciowego”. Dyrektor wydał więc zarządzenie. I wymienił dokumenty, które należy mu przedłożyć, ubiegając się o głejn na hotel. Wśród nich jest „scenariusz filmu lub utworu audiowizualnego” wymagany w przypadku, gdy film lub utwór nie korzysta z dofinansowania z PISF. A więc w zdecydowanej większości przypadków. Po co? Z odpowiedzi rzecznika PISF wynika, że chodzi o to, by dyrektor mógł ocenić, czy dany utwór audiowizualny jest – jak tego wymaga rozporządzenie – „profesjonalny”.

Co miałyby świadczyć o jego profesjonalizmie? Nie wiadomo. A skoro tak, to wychodzi na to, że zależy to wyłącznie od subiektywnej oceny dyrektora PISF, który może np. zwracać uwagę na tematykę poruszaną w utworze. Tematyka żołnierzy wyklętych czy losy dynastii królewskich wydają się bezpieczne. Ale czy pozwolenie zostanie ekipa realizująca np. film o transpłciowym uczniu? Albo – komedię o fikcyjnej satrapii rządzonej przez prezesa, którego ludzie uwłaszczają się na państwowym majątku? Pamiętamy przecież, jak u początków swoich rządów w resorcie kultury Piotr Gliński usiłował udaremnić wystawienie sztuki „Śmierć i dziewczyna” w Teatrze Polskim we Wrocławiu – ze względu na zapowiadane w niej sceny symulowania aktu seksualnego i udział aktorów porno.

Dyrektor PISF wydając pozytywną opinię na temat kontrowersyjnego – według wrażliwości rządzącej ekipy – scenariusza, może



narazić się na retorsje. Rozporządzenie Rady Ministrów i zarządzenie dyrektora PISF umożliwiają cenzurowanie „utworów audiowizualnych”. A co ma zrobić ekipa, której przedsięwzięcie zostanie ocenione jako niewystarczająco „profesjonalne”? Drogi odwoławczej nie przewidziano. Podobnie jak tego, by dyrektor PISF musiał odmówić uzasadnić. Jego opinia nie ma mocy prawnej, bo wydana jest na podstawie sprzecznego z konstytucją zarządzenia RM. Jest już kilka wyroków sądów uznających, że ograniczenie konstytucyjnej wolności przedsiębiorców można wprowadzić tylko ustawą. Tyle że właścicielowi hotelu, u którego policja lub inspekcja sanitarna wykryje ekipę filmową nieposiadającą pozytywnej opinii dyrektora PISF, grozi grzywna. A kto wie, może prokurator krajowy poleci w takich przypadkach stawić np. zarzut pomocnictwa do szerzenia choroby zakaźnej? Mamy szansę dorobić się nowej wersji „półkowników”: pandemicznych. (ES)

Sędzia szczuje

Krystyna Pawłowicz, obecnie sędzia Trybunału Julii Przyłębskiej, wywołała medialną burzę z 10-letnim transpłciowym dzieckiem w roli głównej. Ogłosiła na Twitterze, że jedna z podwarszawskich szkół zobowiązała nauczycieli, by zwracali się do dziecka wybranym przez nie żeńskim imieniem, a nie tym z metryczki. Była posłanka PiS podała nazwę szkoły, adres, nazwisko dyrektorki, wiek dziecka i jego imię. Świadomie rozpoczęła nagonkę na rodzinę dziewczynki oraz na szkołę za to, że wsparła uczennicę. Po kilku dniach przeprosiła, ale cóż z tego, skoro stygmatyzująca osoby transpłciowe połajanka trwała dalej.

Tweeta Pawłowicz polubił Mikołaj Pawlak, rzecznik praw dziecka – podobno przez techniczną pomyłkę. Po stronie krzywdzonego dziecka stanął za to burmistrz, który przypomniał, że „podstawowym warunkiem dobrostanu psychicznego człowieka jest integracja jego psychiki z ciałem oraz możliwość ekspresji zgodnie z tym, jak się czuje”. I że nie ma zgody na „cyniczne

wykorzystywanie dzieci do politycznych rozgrywek”.

Wniektórych szkołach, gdzie uczą się transpłciowe dzieci (transseksualność występuje u 1 na 30 tys. transkobiet i u 1 na 100 tys. transmężczyzn), udało się wypracować pewne dobre praktyki respektujące to, kim dziecko się czuje. A dyskomfort i niezadowolenie z płci nadanej przy urodzeniu pojawia się wcześniej, nawet u kilkuletnich dzieci. Choć dane w szkolnym dzienniku muszą być zgodne z tymi w dokumentach, rada pedagogiczna może ustalić, by zwracać się do dziecka imieniem, które dla siebie

wybrało, i pozwolić, aby podpisywało się na klasówkach tak, jak chce. Tak właśnie było w Szkole Podstawowej nr 340 w Warszawie, największej w stolicy, w której dwa lata temu uczył się syn Eweliny Słowińskiej z grupy My, Rodzice działającej przy fundacji Transfuzja. Zorganizowano spotkanie z seksuologiem, po którym nauczyciele nie używali już „deadname” jej syna. Wszystko zadziało się w ciągu tygodnia.

Choć imię to zaledwie wierzchołek tego, przez co przechodzą osoby transpłciowe, zwłaszcza w Polsce, to ma ono wciąż znaczenie fundamentalne. Gasnącym w oczach dzieciom i nastolatkom daje więcej pewności – transpłciowe dzieci często opowiadają, że nie piją niczego w szkole, żeby nie musieć korzystać z toalety. Odrzucenie ich tożsamości może skończyć się tragicznie. Pracująca na rzecz zmniejszenia liczby samobójstw młodzieży w USA organizacja Youth Suicide Prevention Program szacuje, że ponad połowa osób transpłciowych podejmuje przynajmniej jedną próbę samobójczą przed ukończeniem 20 lat. Można je uratować, a wszystko zaczyna się od kwestii imienia. (AGSZCZ)

T Y D Z I E Ń W P O L I T Y C E

Fikcyjny wicepremier

Piotr Beniuszys

Politolog, socjolog, publicysta „Liberté!”



Od ponad roku borykamy się z pandemią. Ostatnie tygodnie to trzecia fala, najprawdopodobniej jej najcięższy moment. Porównawcze dane statystyczne pokazują, że pod względem liczby zgonów sytuacja w Polsce należy do najgorszych. Pod suchymi liczbami kryją się ludzkie tragedie. Można postawić tezę, że nasze bezpieczeństwo nie było w tak złej kondycji co najmniej od stanu wojennego, który wiązał się z wiadomym ryzykiem geopolitycznym. Polska ma od wielu już miesięcy nowego ministra w rządzie, który z oficjalnym tytułem: Szefa Komitetu Rady Ministrów do spraw Bezpieczeństwa Narodowego i Spraw Obronnych, zasiada w gabinecie Morawieckiego w randze wicepremiera. Wydawać by się mogło, że wytężona praca na rzecz ograniczenia śmiertelnego żniwa wirusa będzie czołową misją osadzonego w tej roli Jarosława Kaczyńskiego.

Tymczasem w lutym i w marcu, kiedy wzbierała trzecia fala, prezes PiS praktycznie zniknął z życia publicznego. Wyglądało to na urlop, ale na tyle się przedłużający, że zaniepokojona opozycja zaczęła pytać o jego losy. W odpowiedzi rzecznik (partii, a nie rządu, co dość znamienne) Radosław Fogiel mówił, że Kaczyński „zajmuje się swoimi obowiązkami, spędza po kilkanaście godzin w gmachu (...) KPRM. Pracuje, wykonuje swoje obowiązki (...), nierzadko wychodzi ostatni (...) z Kancelarii Premiera. (...) Trafiają do niego projekty ustaw, rozmaite decyzje z dziedziny, która mu podlega”. Tak gęsto zwykle tłumaczy się student kiepsko przygotowany do ćwiczeń. Do tej wypowiedzi nasuwa się cały plik oczywistych pytań.

W kwietniu Kaczyński jednak wrócił ze sporym impetem. Czym się zajął, obrazują jego wypowiedzi. Były to: ataki na opozycję („rak

polskiej polityki”), groźby pod adresem koalicjantów, negocjowanie wsparcia PiS przez posłów Pawła Kukiza, zmiany w podatku dochodowym i polityce prorodzinnej projektowane przez pisowski Nowy Ład – czyli narzędzie walki partii o trzecią kadencję. Do tego doszły: ataki na zwolenników Strajku Kobiet, deklaracje obrony nas przed groźbą „ideologii LGBT” i „upadkiem zachodniej cywilizacji opartej na chrześcijaństwie” oraz dywagacje na temat zanikających szans na „wyjaśnienie Smoleńska”. Innymi słowy wicepremier Kaczyński wykazał znaczną dbałość o bezpieczeństwo trwania u władzy swojej partii i jej interesy, o bezpieczeństwo „tradycyjnych wartości przed wpływami z Zachodu” i o zabezpieczenie groteskowej narracji o „zamachu smoleńskim” przed jej nieuchronną kompromitacją.

Temat epidemii pojawił się w jednej wypowiedzi prezesa – wyraził on „głęboką wiarę, że za kilka miesięcy będzie po zarazie”. I tyle. Jakoś to będzie, samo pójdzie, wystarczy odczekać, aż się przetoczy, wicepremier od bezpieczeństwa nie musi się więc tym kłopotać?

Priorytety wydają się jasne. To o bezpieczeństwo partii i jej wpływów tu chodzi, nie o obywateli. Rządowe stanowisko Kaczyńskiego jest fikcyjne, służy wyłącznie galwanizowaniu władzy i pacyfikowaniu wewnętrznych konfliktów. Od lat dysfunkcyjna pozycja Kaczyńskiego w obozie rządzącym znajduje tutaj czytelny wyraz, ale jego wicepremierostwo jest również znakiem pełnego już przekształcenia się Polski PiS w udawane państwo, które jest de facto jednoznaczne z partią władzy.

Można się było z nią zgadzać lub nie, ale Kaczyński miał kiedyś (30, ale i 20 lat temu) wizję państwa. Dziś instynkt państwowa u niego doszczętnie zanikł. Pozostał drapieżny lider partyny, który dba tylko o interes swojego obozu. Jego wizja państwa polega na przejściu przez partię i zlanu się tych porządków w jeden. Pandemia nic tu nie zmienia.

Akademia pana Czarnka

Powstający w tajemnicy w Ministerstwie Edukacji i Nauki projekt Narodowego Programu Kopernikańskiego prof. Jerzy Duszyński, prezes PAN, zobaczył przez przypadek w połowie marca. Wynikało z niego, że resort planuje powołać konkurencyjną dla kierowanej przez niego instytucji Międzynarodową Akademię Kopernikańską, tylko podległą politykom. Prof. Duszyński zwrócił się do ministerstwa z prośbą o wyjaśnienia, ale odpowiedzi się nie doczekał do dziś. Dopiero gdy pojawiły się na ten temat artykuły prasowe, minister **Przemysław Czarnek** zaczął „uspakajać”, że w projekcie nie ma mowy o likwidacji PAN i że są to „autoleki” prezesa.

Ale lęki naukowców są uzasadnione. Po pierwsze, struktura i cele MAK dublują się z PAN – z tym że stanowiska w niej obsadzone będą przez premiera lub ministra. Po drugie, PAN nie trzeba likwidować, wystarczy finansowo zagłodzić, przez przepompowanie do nowej instytucji i tak niewielkich środków na naukę. Po trzecie, w projekcie nie ma mowy o współpracy MAK z PAN. Po czwarte, minister pokazał już przy ustalaniu nowej punktacji czasopism, że słucha tylko opinii ścisłego i tajemniczego grona najbliższych doradców z uczelni w Lublinie. – *Wysoką jakością naukę można uprawiać, tylko będąc niezależnym od polityków* – podkreśla prof. Duszyński. – *We wszelkich parametrach naukowych przebijamy każdy polski uniwersytet, a rząd zamiast PAN zmodernizować – co jest konieczne – i dofinansować, chce ją zmarginalizować lub zastąpić.*



Co ciekawe, NPK poza filozofią i teologią pomija inne dziedziny humanistyki i nauki społeczne (np. nie można za nie dostać nagrody kopernikańskiej o wysokości 150 tys. dol.). – *Powstanie drugoligowa instytucja, udająca, że ma potencjał intelektualny i znaczenie PAN. Ale obecna władza nie chce umiędzynarodowienia nauki, a wolność badawczą uważa za pozorną i podpatrzoną na zgniłym Zachodzie* – zwraca uwagę prof. Grażyna Borkowska z PAN. W dodatku, jak podkreśla prof. Duszyński, projekt uderza naiwnością. – *Instytucja naukowa powinna przyciągać zdolnych ludzi z całego świata, tymczasem rząd zarzuca sieć nie do oceanów, tylko do lokalnych stawów. Tak się nie buduje wielkiej nauki, bo nikt z zagranicy nie przyjdzie do nieautonomicznej instytucji badawczej.*

Według prof. Borkowskiej „przewrotem kopernikańskim” było stworzenie w 2010 r. niezależnego od władz Narodowego Centrum Nauki oraz Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, które zajmują się przydzielaniem środków na badania. – *NPK też wchodzi im w kompetencje* – zauważa profesor. Z kolei posłowie opozycji, jak Agnieszka Dziemianowicz-Bąk z Lewicy, nie mają wątpliwości, że NPK ma służyć do obsadzania stołków zależnymi od rządów PiS naukowcami, którzy będą podlegali weryfikacji naukowej. Bo po sądach i mediach przyszedł czas na zmiany w nauce. Problem w tym, że w ogóle nie jest ona zbyt silna, a podporządkowanie jej politykom sprawi, że poniesione straty intelektualne przyjdzie nam odrabiać dziesiątki lat. (A. KRZEM.)

ŁAPIEMY ZA

S Ł Ó W K A

Nowy magazyn o języku

wyborcza.pl/Slowka



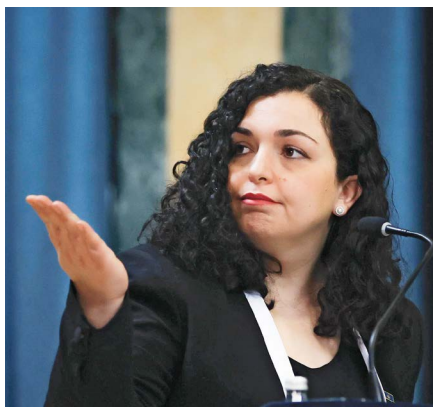
Znów gorący Donbas

Wten weekend zginął w Donbasie kolejny ukraiński żołnierz. To już 27. ofiara konfliktu na wschodzie Ukrainy od początku roku. Kijów wiąże to z nadzwyczajną koncentracją rosyjskich wojsk tuż po drugiej stronie granicy – amerykański Departament Stanu mówi o dodatkowych 85 tys. żołnierzy – największej od 2014 r., gdy przy wsparciu lokalnych separatystów Rosja napadła na Ukrainę, odbierając jej Krym. Moskwa twierdzi, że to „rutynowe manewry” i sprawa wewnętrzna Rosji, ale Kijów ostrzega przed kolejną inwazją. Jakby na potwierdzenie tego rzecznik Kremla powiedział w niedzielę, że choć to „tylko ćwiczenia, Moskwa nie pozostanie obojętna na los rosyjskojęzycznej ludności” ukraińskiego Donbasu.

Relacje między sąsiadami pogarszają się od kilku tygodni i po zeszłorocznym odprężeniu nie ma już śladu. Część analityków uważa, że rosyjskie wzmoczenie to reakcja na kolejną próbę Kijowa wyczyszczenia kraju z rosyjskich wpływów, w tym ograniczania roli „agentów Rosji”, m.in. wpływowego prorosyjskiego polityka Wiktora Medwedczuka. Prezydent Wołodymyr Zełenski w niedawnych rozmowach z szefem NATO Jenssem Stoltenbergiem i prezydentem Joe Bidemem wrócił też do tematu członkostwa Ukrainy w Sojuszu. Szczególne poparcie uzyskał właśnie od Amerykanów, którzy w związku z koncentracją rosyjskich wojsk wysłali na Morze Czarne dwa dodatkowe niszczyciele. Inaczej reaguje Europa Zachodnia – w zeszłym tygodniu, wyłamując się z unijnego frontu, z Władimirem Putinem o Ukrainie (ale bez Ukrainy) rozmawiali Angela Merkel i Emmanuel Macron. Jesienią Rosję czekają wybory do Dumy i ewentualny powrót do działań zbrojnych w Donbasie odciągnąłby uwagę Rosjan od coraz gorszej sytuacji gospodarczej kraju.

Vjosa czyni wiosnę

Kosowo ma prezydentkę: 38-letnią **Vjosę Osmani**, prawniczkę (po uniwersytecie w Pittsburghu) i zagorzałą feministkę. Parlament wybrał ją dopiero w trzeciej turze i przy bojkocie części posłów, ale prezydenckie szlaki przecierała od kilku miesięcy. Zastępując *ad interim* swego poprzednika Hashima Thaçiego, który w listopadzie złożył rezygnację, kiedy dostał wezwanie przed międzynarodowy trybunał (KSC) w Hadze. Oskarżany jest o zbrodnie wojenne i przeciwko ludzkości podczas walk o oderwanie się od Serbii w latach 1989–99. Wraz z wyborem Osmani i niedawną klęską wyborczą dwóch historycznych partii niepodległościowych następuje w Kosowie zmiana pokoleniowa. W lutowych wyborach bezprecedensowe



zwycięstwo odniosła lewicowa partia Vetrevendosje (VV), Samostanowienie, 43-letniego Albina Kurtiego, który został premierem z silną pozycją w parlamencie. Razem z Osmani tworzą popularny duet, choć

w kraju wszechpotężnej korupcji, 500 euro średniej pensji i sięgającego 50 proc. bezrobocia wśród młodzieży (której głównym marzeniem jest stąd wyjechać) trudno będzie sprostać oczekiwaniom. Panią prezydent dwumilionowego Kosowa – zamieszkanego głównie przez Albańczyków, z dużą mniejszością serbską – najważniejsze wyzwania czekają w polityce zagranicznej. Unia i Ameryka Joe Bidena będą naciskać na normalizację z Serbią, która nadal nie uznaje niepodległości swojej byłej prowincji (tak jak m.in. Rosja i Chiny). Osmani stawia tu ostry warunek: serbskie przeprosiny za konflikt i ukaranie winnych. Ważna może być też jej rola jako modelu w ciągle patriarchalnym i silnie maczystowskim kosowskim społeczeństwie. „Wszystkie wasze marzenia mogą się spełnić!” – przekonywała swoje rodaczki w emocjonalnym wystąpieniu, ledwie powstrzymując łzy.

Grenlandia nie chce Chińczyków

Nad liczącą 56 tys. mieszkańców Grenlandią powiały silne geopolityczne wiatry. Nie tak dawno chciał ją kupić dla Ameryki Donald Trump, a teraz w przyspieszonych lokalnych wyborach parlamentarnych – należąca do Danii Grenlandia ma szeroką autonomię – mieszkańcy opowiedzieli się przeciw budowie chińskiej kopalni. Pod takimi hasłami, głównie natury ekologicznej, zwyciężyła opozycyjna lewicowa partia Inuit Ataqatigiit, Wspólnota, i już zapowiedziała wstrzymanie prac. Projekt wydobywania uranu i licznych tu złóż metali ziem rzadkich w Kuannersuit, na południu wyspy, firmują Australijczycy, ale głównym udziałowcem Greenland Minerals okazał się chiński konglomerat państwowy Shenge. Chińczycy od paru lat uważnie przyglądają się Grenlandii. A Pekin praktycznie zmonopolizował rynek metali ziem rzadkich, niezbędnych w rozmaitej elektronice, od telefonów komórkowych po samoloty naddźwiękowe, ze wszystkimi tego niepokojącymi strategicznymi konsekwencjami. Nic dziwnego, że grenlandzkie wybory śledziło tak wiele rozmaitych służb.



Zkolei budowa kopalni i związana z wydobywaniem profity były o tyle newralgiczne, że przybliżyłyby wyspę do niepodległości. Dotychczas żyła z połowu ryb i z duńskich subsydiów. Większość mieszkańców jest nawet za zacieśnieniem relacji z Kopenhagą, ale w ramach niepodległości. Teraz się ona oddaliła. Jest jeszcze jeden oczywisty powód powszechnego zainteresowania Grenlandią: topnienie pokrywy lodowej (które w ubiegłym roku przybrało rekordowe rozmiary), podwyższające poziom oceanów. Cofający się lód ujawnia, jakie skarby do wydobywania się pod nim kryją (pokłady wspomnianych rzadkich minerałów są już oceniane jako największe na świecie). Rosnąc więc będzie lokalny nacjonalizm i pokusa, żeby na nich zarobić i wreszcie stanąć na własnych nogach, bez oglądania się na Kopenhagę. Błędne koło po grenlandzku.

Spod lodu wyłaniają się skarby.

Król bez królestwa

Wielka Brytania żegna **księcia Filipa**, małżonka panującej królowej Elżbiety; dożył blisko 100 lat, a małżeństwo trwało 73 lata i to bez kryzysów, skandali i dramatów, które przeżywały związki ich dzieci czy rodziny królewskie innych europejskich monarchii. Filip w młodości mierzył się z tożsamością skomplikowaną. Oboje jego rodzice pochodzili z arystokracji niemieckiej, ale powiązani zostali z Grecją i religią prawosławną. Ojciec był synem greckiego króla, oficerem i jednym z dowódców armii w wojnie z Turcją; matka, głęboko religijna, założyła w Atenach klasztor prawosławny. Życie nie pozwoliło im jednak zajmować się Filipem (matka przez lata cierpiała na schizofrenię), którego wysyłano do internatów przyszkolnych we Francji, Anglii i Niemczech. Zniesienie monarchii w Grecji skazało ich na biedę. O losach Filipa zadecydował wuj, późniejszy brytyjski admirał, który w 1939 r. skierował go do brytyjskiej szkoły marynarki wojennej. Filip przyjął jego nazwisko, został zawodowym oficerem marynarki, służył w wojnie na Morzu Śródziemnym i Pacyfiku.

Małżeństwo z księżniczką Elżbietą, a potem odziedziczenie przez nią tronu brytyjskiego w 1952 r. całkowicie zmieniło jego życie. Brytyjska monarchia konstytucyjna wszystkie prerogatywy królewskie – łącznie z prawem łaski i nadawaniem orderów – przeniosła na rząd. Monarcha nie może publicznie zabierać głosu w żadnych istotnych kwestiach, tym mniej może księżę małżonek. Królowa wprawdzie doradza premierowi, jednak cotygodniowa audycja jest zamknięta, księżę małżonek nie ma do niej dostępu. Filip, dowódca fregaty,



© EPA/PAP

w połączeniu ze sztywnym protokołem dworskim miał zdaniem ekspertów zawżyć na losach młodego pokolenia rodziny.

Do obowiązków księcia należało patronowanie aż 800 rozmaitym fundacjom, przedsiębiorstwom i organizacjom charytatywnym. Spośród nich najwięcej serca i czasu poświęcił Awards Scheme, adresowanemu do młodzieży ogólnokrajowemu programowi zdobywania wyróżnień w ochotniczej służbie dla społeczności lokalnych, w ratownictwie i rozwijaniu rozmaitych przydatnych umiejętności. Przez program ten, zainicjowany przez księcia jeszcze w latach 50., przewinęły się miliony Brytyjczyków. I chociaż Filip nie był tak ciepło przyjmowany przez społeczeństwo jak królowa czy dziś ich wnuk William, to akurat w Awards Scheme był powszechnie i wysoko ceniony. Chwalono jego szerokie zainteresowania. Pozostawił duży księgozbiór, w którym najwięcej miejsca zajmowały kolejno książki o życiu ptaków, religii, koniach oraz o marynarce wojennej i okrętach.

nawyki do rozkazywania, samiec alfa – jak pisze jeden z biografów – typ sportowy, pilot, jeździec, żeglarz – musiał nie tylko porzucić marynarkę wojenną, ale też dopasować się do dyskrecji i bierności. Nie ukrywał, że swoje role ceremonialne wypełniał bez entuzjazmu.

Za młodu głównym jego obowiązkiem monarszym było wychowanie dzieci koronnych, które – pierwszy raz w historii korony – posłano do zwykłych szkół z innymi. W podjęciu tej decyzji księżę miał walny udział. Próbując jednak z następcy tronu, Karola, zrobić kogoś energicznego na swoją modłę, posłał go do surowego internatu szkoły, do której sam wcześniej chodził. Karol jako dziecko skarżył się, że był tam nękanym, pewien chłód w stosunkach rodzinnych

Brytyjska prasa bulwarowa traktowała Filipa bez sympatii, nazywano go „księciem pomyłek” ze względu na komentarze wygłaszane podczas spotkań w fundacjach. Jedni oceniali, że nie rozumiano żartów i sarkazmów księcia, inni twierdzili, że były to wypowiedzi po prostu głupie, a czasem wręcz ksenofobiczne i rasistowskie. Księżę przez wiele lat (1981–96) pełnił funkcję prezidenta WWF, światowej organizacji ochrony przyrody; tu też nie oszczędzono mu krytyki, bowiem jedna z królewskich posiadłości, Sandringham, była równocześnie największym w Europie terenem polowań na ptaki.

Ze względu na pandemię w pogrzebie księcia weźmie udział zaledwie 30 osób; nawet premier odstąpił swoje miejsce członkom monarszej rodziny.

MAREK OSTROWSKI

REKLAMA

ZAINWESTUJ W SZTUKĘ!



Jerzy Kossak "Szturm artylerii konnej"



Jerzy Nowosielski "Akt we wnętrzu"



www.warszawskidomaukcyjny.pl

Opowieści szczepionkowe (do czytania w kolejce)



Skierowanie może wystawić każdy lekarz. Szczepią się nawet obrotni dwudziestolatkowie, a ci, co mają pieniądze, idą na zastrzyk prywatnie. Narodowy Program Szczepień już chyba nie istnieje. Wszystko poszło na żywioł.

AGNIESZKA SOWA

Zbigniew, lat 46, mieszkaniec Warszawy, zaszczepił się pierwszą dawką jeszcze w marcu. Jak to możliwe? Zadzwonił do niego kolega, że szczepią pracowników firm farmaceutycznych i że jak chce, może dołączyć. Nikt niczego nie sprawdza. Zwolnił się z pracy, pojechał, trochę z duszą na ramieniu. Podał dowód pani spisującej dane. – *Skąd pan jest?* – zapytała.

– *Z Bayera* – skłamał.

– *Pewnie, wy tu wszyscy z bajera jesteście...*

Prawda jest taka, że mimo przechwałek rządu szczepienia w Polsce idą słabo. Nawet teraz na kwiecień ciągle jest 900 tys. wolnych terminów. A w ciągu tygodnia Polska spadła z 27. na 33. miejsce na świecie pod względem odsetka zaszczepionej populacji (5,3 proc.). Mimo to przed punktami szczepień ciągle zdarzały się kolejki wściekłych seniorów. Najczęściej

winna była komunikacja – starsi ludzie, choć umówieni na konkretną godzinę, przychodzili za wcześnie i musieli odstać na zimnie.

Szarża

Kiepska statystyka i ponure obrazki w telewizji politycznie obciążały szefa KPRM Michała Dworczyka. Według naszych informacji to on wpadł na pomysł, jak przełamać impas. Zniecierpliwiony ślimaczącymi się szczepieniami, tym, że wielu uprawnionych ze starszych roczników odpuszcza, zdecydował o otwarciu szczepień dla młodszych roczników.

Nie chodziło więc o błąd systemu, ale o to, że minister chciał odnieść spektakularny i szybki sukces.

Najpierw Rządowa Agencja Rezerw Strategicznych dostała sygnał: uwolnić szczepionki. 30 marca punkty szczepień w całym kraju otrzymały ofertę z możliwością zamówienia

dowolnej ilości szczepionek firmy Pfizer. Do wyczerpania zapasów. Uprzedzono, że szczepionki przyjadą za trzy dni, więc szczepić trzeba będzie w Wielki Piątek i w Wielką Sobotę. Z tego powodu nie wszystkie punkty się na to zdecydowały. Ale inne podjęły wyzwania. Na przykład w Rzeszowie – okazało się, że szczepionek jest tyle, że kłuto wszystkich jak leci, nie pytając o skierowanie.

Wcześniej bez żadnej zapowiedzi, w nocy z 31 marca na 1 kwietnia, wystawiono w systemie e-skierowania na szczepienia dla 50- i 40-latków.

Więść rozeszła się błyskawicznie. – *Koleżanka zadzwoniła w nocy i powiedziała, że można się zapisywać na szczepienie* – opowiada Wanda, lat 49. – *Bałam się, że zaraz to odwołają, że to jakaś pomyłka, więc złapałam jedyny termin na następny dzień i pojechałam 150 km.*

Wiele osób brało możliwość rejestracji za kiepski primaaprilisowy żart. Ale to nie był żart. Z naszych informacji wynika, że sprawa oparła się o Nowogrodzką. Fakt, że szczepieni będą 40-latkowie, gdy w kolejce czeka mnóstwo seniorów, oburzył prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Wtedy zdecydowano się wstrzymać operację.

Obawy prezesa można było zrozumieć. – *Ciągle nie zaszczepiło się 1 mln 100 tys. seniorów 70+, a w tej grupie wiekowej śmiertelność w przypadku zakażenia Covid-19 to 30 proc.* – mówi dr hab. Konrad Szuldrzyński, szef kliniki anestezjologii i intensywnej terapii szpitala MSWiA w Warszawie. – *Jeżeli pandemia będzie trwać, to nie zadajemy pytania, ilu z nich zachoruje, tylko kiedy zachorują. A to oznacza śmierć 350 tys. ludzi.*

Tak więc już około południa 1 kwietnia minister Dworczyk zaczął wszystko odkręcać. Rządowy portal pacjent.gov przestał działać. Anulowano terminy przypisane 40-latkom po 5 kwietnia. Minister przeprosił za to, że „system zaczął zapisywać osoby 40 plus na terminy kwietniowe”. I za brak informacji.

Jednak w kolejnych dniach 50-latkom udawało się zapisać na szybkie, kwietniowe terminy szczepień.

Na farmaceutę

Po szarży ministra Dworczyka w Narodowym Programie Szczepień zaczęło wychodzić coraz więcej dziur. Dziwne, bo do tej pory szczepionki były towarem ściśle reglamentowanym. Większość punktów szczepień miała przydział 30 szczepionek na tydzień. Nie było mowy, żeby dostać więcej. Jak to działało?

– *Jak dopisali do grupy pierwszej przewlekle chorych, to kazali nam zbierać 30 chętnych i dopiero wtedy mogliśmy zamawiać* – mówi Bożena, pielęgniarka z przychodni w Białymstoku, która szczepi od stycznia. – *Powiedzieli, żebyśmy przekazywali pacjentów do innych punktów, jak nie dajemy rady zebrać całej trzydziestki.*

Jednak każdą reglamentację da się obejść. Przykładem jest choćby opisywany już Zygmunt z „bajera”. Nie kryje, że całe doświadczenie kosztowało go trochę nerwów. Głupio tak w żywe oczy kłamać, udając pracownika firmy farmaceutycznej. Jednak dziś już jest po pierwszej dawce AstraZeneki, drugą ma zagwarantowaną. Uważa, że szkoda było nie skorzystać z szansy, zwłaszcza że w marcu zanosilo się na to, że czekać na swoją kolejkę będzie jeszcze wiele miesięcy.

Usprawiedliwiał się sam przed sobą: szczepienia pracowników firm farmaceutycznych też były chyba poza rządowym harmonogramem. Niezupełnie – włączono ich do podlegających szybszym szczepieniom zawodów medycznych. Czy zasadnie, to już inne pytanie.

Czy jeszcze jakieś branże są tak uprzywilejowane? Owszem. – *Zaszczepiono rządowych urzędników z agencji rezerw strategicznych. Wszystkich chętnych, bez względu na wiek. W specjalnym terminie w niedzielę, 28 marca na Narodowym*

– poinformował w mediach społecznościowych poseł Koalicji Obywatelskiej Michał Szczerba. Prezes Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, 42-latek Michał Kuczmierowski twierdzi, że on nie został zaszczepiony.

Na skierowanie

Tymczasem okazuje się, że jest znacznie prostszy sposób, żeby wkręcić się do kolejki. Po to, by zarejestrować się na konkretny termin szczepienia, trzeba mieć skierowanie, generowane automatycznie przez system zgodnie z kolejnością szczepień opracowaną przez rząd.

Jednak odkąd do grupy I, szczepionej zaraz po grupie 0 (personel medyczny), dopisano osoby przewlekle chore (np. dializowane, wentylowane mechanicznie, po i przed przeszczepieniem, chore onkologicznie), e-skierowanie w systemie może wystawić lekarz. Każdy, nawet taki, który nie ma kontraktu z NFZ. Na podstawie takiego skierowania, którego nikt nie weryfikuje, można się zarejestrować na konkretny termin szczepienia.

Jak wystawić skierowanie, krok po kroku instruuje lekarzy jeden z dostawców oprogramowania medycznego na swojej stronie: „Wystarczy, że w elektronicznej dokumentacji medycznej w typie wystawianego skierowania zaznaczysz »na szczepienie«, w rozpoznaniu głównym wybierzesz »Z25.8 – Potrzeba szczepień przeciwko innym określonym pojedynczym chorobom wirusowym«, a następnie w polu procedura wybierzesz »99.557 – Szczepienie przeciw Covid-19«. Pamiętaj, że możesz wystawić e-skierowanie podczas e-wizyty. Nie musisz posiadać umowy z NFZ – każdy lekarz posiadający oprogramowanie gabinetowe może wystawić skierowanie na szczepienie na Covid-19”.

Na żywiol

Prawdopodobnie część młodych ludzi szczepionych w Wielką Sobotę w Rzeszowie w Centrum Medycznym Medyk miała takie właśnie skierowania albo wystawiano im je od ręki. „Istnieje spore podejrzenie”, że wśród zaszczepionych w Rzeszowie „znalazły się osoby, które nie były uprawnione w tym momencie do zaszczepienia i zostało im wystawione skierowanie”, przyznał pełniący obowiązki szefa NFZ Filip Nowak.

Urzędnicy NFZ podejrzewają, że skierowania wypisywano na miejscu, w punkcie szczepień, i od razu rejestrowano i szczepiono. Stąd kontrola.

– *Jeśli był ktoś z zespołem Downa czy ewidentną grupą inwalidzką, czy pokazał mi, że ma wyjazd na studia medyczne, to wpuszczałem tych ludzi i będę upuszczał* – wyjaśniał dr Stanisław Mazur, prezes Centrum Medycznego Medyk z Rzeszowa.

Awantura zaczęła się od tweeta dr. Rafała Mundrego, ekonomisty z Uniwersytetu Wrocławskiego, który opublikował informację, że w 190-tysięcznym Rzeszowie wykonano 119 tys. szczepień. Zawrzało. Posłowie Koalicji Obywatelskiej Dariusz Joński i Michał Szczerba komentowali, że PiS ze szczepionek robi kiefbasę wyborczą, bo za miesiąc w Rzeszowie odbędą się wybory prezydenckie.

Szef KPRM Michał Dworczyk insynuacje o tym, że w Rzeszowie zaszczepił się szczególnie duży odsetek ludności, oraz o tym, że ma to związek ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi w stolicy Podkarpacia, nazwał kłamstwem. Wytłumaczył, że Centrum Medyczne Medyk ma kilkadziesiąt punktów na terenie województwa i ta duża liczba zaszczepionych obywateli to ludzie z całego województwa. Stąd nieprawdziwe wyliczenie, że w stolicy Podkarpacia zaszczepionych jest 45 proc. mieszkańców.

Na Podkarpaciu nie ma zbyt wielu chętnych na szczepienia, Medyk się ogłasza wszędzie, więc przyjeżdżają nawet ►

► z sąsiednich województw. Szczepionki przylatują samolotem, Centrum Medyczne ma zamrażarki, w których może je przechowywać. Przychodnia zorganizowała nawet mobilne punkty szczepień, które jeżdżą do małych wiosek, gdzie nikt punktu szczepień nie chciał otworzyć, bo jak nawet jest przychodnia, to nie spełnia warunków.

Dr Mazur nie robi tego za darmo. W piątek i sobotę zaszczepiono przy ul. Rejtana 4580 osób. Za każdą z nich Centrum Medyczne Medyk ma otrzymać od Funduszu 61 zł. Łącznie to ponad 279 tys. zł. W Rzeszowie trwa kontrola NFZ, urzędnicy sprawdzą też, czy przy szczepieniach używano wielokrotnie tej samej jednorazowej strzykawki. Prezes Medyka zaprzecza.

Za pieniądze

Szczepienie można też po prostu kupić. W ten sposób poszczepiło się sporo obcokrajowców mieszkających w Polsce. Mają co prawda prawo do szczepień, jeśli są w Polsce legalnie i mają numer PESEL, ale ich wiek na ogół oznacza, że musieliby jeszcze poczekać. Koszt jednej dawki to 2 tys. zł. Jak to możliwe?

– *To całkiem proste – tłumaczy lekarz. – Partia szczepionek, czyli opakowanie, ma 10 lub 20 ampulek. Wszystkie mają tę samą serię. Z jednej ampulki można uzyskać od sześciu do siedmiu porcji szczepionki. Tę siódmą udaje się nabrać, gdy ma się odpowiednią strzykawkę. Wystarczy pobrać siedem, a rozliczyć sześć. Z jednego opakowania 10 ampulek spokojnie można zaoszczędzić jedną ampulkę z siedmioma dawkami, wartą 14 tys. zł.*

Jest też opcja zaraportowania w systemie SDS niewykorzystanej bądź uszkodzonej szczepionki w stratach. Punkt szczepień utylizuje szczepionki we własnym zakresie. Ale w Polsce oficjalnie zutylizowano tylko 7,5 tys. szczepionek, więc raczej nie jest to metoda często stosowana.

Na Twittera

Prawnicy twierdzą, że Narodowy Program Szczepień to wewnętrzny dokument rządowy, z którego nie wynikają żadne uprawnienia ani obowiązki. Obowiązuje wyłącznie jednostki organizacyjnie podległe rządowi. Co gorsza, program zmienia się praktycznie z dnia na dzień.

W etapie zero miał być personel medyczny, lekarze, pielęgniarki, ratownicy. Ale znaleźli się tam również pracownicy administracji i marketingu placówek medycznych, kierowcy z hurtowni rozwożący leki, sekretarki, pracownicy firm farmaceutycznych, którzy nie mają żadnego kontaktu z chorymi. W końcu do grupy zero dodano rodziców wcześniaków.

Grupa pierwsza miała objąć seniorów, ale dodano do niej służby mundurowe, prokuratorów, osoby z chorobami przewlekłymi i nauczycieli. Szczepienia chorych przewlekłe (m.in. onkologicznych) zaczęły się w połowie marca. Zdezorientowani pacjenci dzwonili na infolinię szczepionkową, gdzie telefonistki odsyłały ich do punktów szczepień.

– *A my nie mamy żadnych wytycznych, co z nimi zrobić, co gorsza, grafiki do końca miesiąca zapelnione* – Bożena, pielęgniarka z punktu szczepień w Białymstoku, sama zaczęła wydzwaniać na infolinię i do ministerstwa. Nic to nie dało. Wreszcie dodzwoniła się do wojewódzkiego koordynatora szczepień. Sekretarka poinformowała ją, że nie może z nim porozmawiać, ale ona spisze wszystkie pytania i wyśle mu mailem. Podziękowała.

Po etapie pierwszym miały być etapy drugi i trzeci, ale właśnie je zlikwidowano... Rozpoczynają się szczepienia populacyjne. Chaos jest tak duży, że lekarze z punktu szczepień konsultują się na Facebooku w sprawie obecnie obowiązujących rozporządzeń: „Czy gdzieś są dopisani sędziowie itd.,

bo podobno gdzieś już ich szczepią, a ja nawet nie wiem, czy mogę? Czy gdzieś jest opisany etap 2 i kolejne? W jakim akcie prawnym są ludzie młodszy niż 60 lat? Czy teraz już szczepimy tylko na podstawie Twittera KPRM, czy jeszcze z czasem jakiś akt prawny się pojawi?” – pyta lekarka kolegów.

Połączyć się w tym wszystkim nie jest łatwo. Zmieniają się nie tylko etapy. – *Najpierw drugą dawkę Pfizera podawaliśmy po trzech tygodniach* – opowiada pielęgniarka Bożena z białostockiego POZ i punktu szczepień. – *Potem zmiana: teraz dajemy po sześciu tygodniach. Informatycy za tym nie nadążają.*

W dniu, w którym podano 7-milionową szczepionkę, a premier Morawiecki zapowiedział, że do końca sierpnia zostaną zaszczepieni wszyscy chętni, do przychodni w Darłowie szczepionki nie dojechały i trzeba było przeprosić i przełożyć szczepienia 200 seniorów.

– *Od niedawna mamy w systemie nową funkcję: „masowe przenoszenie pacjentów”* – mówi Bożena. – *To jest genialne. Wcześniej musiałyśmy wszystkich zapisanych po kolei ręcznie usuwać. Od razu przychodziły do nich esemesy, że mają odwołaną wizytę. Zanim zdążyłam wprowadzić ich na nowy termin, urywały się telefony od zdenerwowanych seniorów.*

Kolejna aktualizacja rządowego systemu dystrybucji szczepionek już nie była tak udana. Kiedy zamawia się pierwszą dawkę szczepionki, system automatycznie zamawia drugą – Pfizera – na za pięć tygodni. Kiedy szczepią pacjenta, system również automatycznie generuje następną wizytę na drugie szczepienie i w przypadku Pfizera umawia go... za sześć tygodni.

Szarża druga

Rząd nie radził sobie ze szczepieniami, więc zadziałała zasada „Polak potrafi”. Paradoksalnie zatem wszystkie działy w systemie i szarża Dworczyka mogły mieć dobry skutek. – *Uwolnienie szczepień bardzo nam pomogło. Zorganizowaliśmy skład pielęgniarski i lekarski, przeszliśmy do nowego, znacznie większego miejsca – holu. W czwartek przed świętami zrobiliśmy tu próbę generalną, więc po świętach wystartowaliśmy książkowo* – opowiada Marta Nowaczewska, dyrektor administracyjna przychodni Medfemina, która szczepi we Wrocławiu w punkcie szczepień na Stadionie Miejskim.

W punkcie na stadionie od dwóch tygodni w ciągu godziny szczepi się do 70 osób. Kiedy Medfemina startowała ze szczepieniami, było to 30 osób na tydzień.

W szczepieniach, jak w całej walce z pandemią, rząd łapie zadyszkę. Panuje chaos, kolejne afery (zaczęło się od szczepień celebrytów na WUM) skutkują zmianami wprowadzanymi z dnia na dzień. Wydawało się już, że przedświąteczne zamieszanie (uwolnienie szczepień w prima aprilis, a potem afery w Rzeszowie) ma jeden dobry efekt i szczepienia przyspieszą. Na Stadionie Narodowym w Warszawie zaczęto szczepić dziennie 3 tys. osób i po pierwszym dniu, kiedy działy się dantejskie sceny, bałagan udało się opanować. Minister Dworczyk roztoczył przed nami perspektywę milionów szczepionek, które już do Polski jadą, mobilnych punktów drive thru, szczepień w aptekach. I zaprosił do współpracy samorządy. A kiedy Warszawa przygotowała 13 punktów (największy na stadionie Legii przy Łazienkowskiej), w których miało być szczepionych nawet 80 tys. osób tygodniowo, z konferencji prasowej premiera dowiedzieliśmy się, że w stolicy powstanie tylko jeden, demonstracyjny punkt. Minister Dworczyk wyjaśnił, że chodzi o to, by mapa punktów była dostosowana do potrzeb i wielkości populacji danego terenu: – *Bo dzisiaj zasadniczym problemem jest brak szczepionek, a nie mocy przerobowych.*

No to w końcu są te szczepionki czy ich nie ma?

AGNIESZKA SOWA

WSPÓŁPRACA KATARZYNA KACZOROWSKA

W cieniu pandemii toczy się akcja kolejnego sezonu opozycyjnego serialu – pełnego napięć, konfliktów i dziwnych sojuszy. Zmienił się odtwórca głównej roli, a finałowy odcinek może nadejść szybciej, niż to przewidywano.

MALWINA DZIEDZIC

Wielka mijanka

Dwa wywiady zelektryzowały ostatnio Wiejską. Jeden, w którym prezes PiS sugeruje, że może dojść do wcześniejszych wyborów, dyscyplинуje koalicjantów, a przy okazji nazywa opozycję „rakiem polskiej polityki” („Gazeta Polska”). Drugi – Borysa Budki, przewodniczącego PO, który przyznaje, że w sumie niewiele może, brakuje mu „decyzyjności”, a pomysł na ruch Trzaskowskiego był tylko hasłem rzuconym „pod wpływem emocji”, z którego potem „trzeba się było tłumaczyć” („Gazeta Wyborcza”). Obie rozmowy – i reakcje na nie – dobrze obrazują aktualny stan polskiej sceny politycznej. Z jednej strony: coraz większe skonfliktowanie obozu rządzącego, który spaja już niemal wyłącznie chęć utrzymania wpływów i posad dla swoich. Z drugiej: bezwład prodemokratycznej opozycji, która choć wedle sondaży zbiera łącznie więcej głosów niż obóz rządzący, to niespecjalnie potrafi się ze sobą porozumieć, nie ma wyraźnego lidera i wciąż lekceważy fakt, że wybory to konfrontacja nie tylko z PiS, ale i z systemem D’Hondta. A ten nie premiuje podziałów.

I choć mogłoby się wydawać, że to nie czas na myślenie o budowaniu politycznych sojuszy, bo priorytetem jest walka z pandemią, a do wyborów parlamentarnych jeszcze dwa lata, przekonanie to może się okazać dla opozycji tyle złudne, co zgubne. Coraz częściej słychać bowiem, że Kaczyński w każdej chwili może wywrócić stolik i przedłożyć uchwałę o skróceniu kadencji Sejmu. – *Jeśli PiS rozwali się na głosowaniu w sprawie funduszy europejskich, to Kaczyński nie będzie miał wyjścia, będzie musiał wyrzucić ziobrystów. Nie sądzę, aby tolerował głosowanie przeciwko własnemu rządowi i brak kontroli nad własną koalicją* – mówi Paweł Graś.

Nie tylko zaufany Donalda Tuska uważa, że głosowanie w sprawie europejskich funduszy może być kluczowe. Tyle że jeszcze do końca ubiegłego tygodnia największa formacja ►



Szymon Hołownia i Borys Budka.

► opozycyjna w Sejmie wciąż nie miała wypracowanego jasnego stanowiska w tej sprawie. Wielu naszych rozmówców z KO przyznaje, że najlepiej byłoby „pójść na twardo” i głosować przeciw. – *Pytanie tylko, na ile uda nam się to ogarnąć komunikacyjnie: i do wewnątrz, i na zewnątrz? Bo jeśli jeden nie poprze, drugi poprze, a do tego nie będziemy potrafili tego wszystkiego wyborcom wytłumaczyć, to lepiej w to nie brnąć* – uważa poseł KO. Niektórzy jednak – podobnie zresztą jak w 2017 r. w przypadku głosowania w europarlamencie nad rezolucją wzywającą Polskę do przestrzegania praworządności – obawiają się, że wyborcy tego nie zrozumieją; powtarzają, że TVP ich rozjedzie, a dodatkowo Europa będzie mieć pretensje. Pomogłoby, gdyby cała opozycja miała w tej sprawie wspólne stanowisko, ale na to się nie zanoszą, bo choćby Lewica gotowa jest głosować z PiS. W KO liczą więc na sojusz z Szymonem Hołownią i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Rozwiązanie podpowiedział ostatnio Donald Tusk (TVN24): „Opozycja powinna solidarnie, bardzo twardo postawić warunki” z gwarancjami, że unijne pieniądze „nie będą rozkradane” przez ludzi PiS. Osobną kwestią pozostaje to, na ile obecna ekipa rządząca przejęłaby się takimi zobowiązaniami?

Byle na listę

Tak czy owak brak posłuchu u ziobrystów i konieczność poszukiwania głosów wśród opozycji to dla Kaczyńskiego ujmą na honorze i kolejne potwierdzenie, że Zjednoczona Prawica traci sterowność. Wywiad dla „GP” jak również komentarze zauszników prezesa pokazują, że cierpliwość Kaczyńskiego się kończy. Wypadaliby więc, aby opozycja miała jakiś plan na wypadek wcześniejszych wyborów, a przynajmniej zaczęła o nim rozmawiać. Tyle że egoizmy partyjne biorą górę. Lewica pochłonięta jest rebrandingiem SLD i Wiosny (Nowa Lewica), związanymi z tym kłopotami wewnętrznymi oraz sklejeniem sojuszu z Razem; PSL usiłuje odbudować wizerunek nadszarpnięty przez koalicję z kukizowcami i chwilową abdykację Kosiniaka, który nie mógł się otrząsnąć po fatalnym wyniku w wyborach prezydenckich (2,36 proc.); Hołownia próbuje się pobudować na słabości PO (i coraz lepiej mu to idzie), a Platforma – do końca nie skłócić i nie podzielić, w czym dołujące sondaże (coraz częściej ok. 17 proc.) na pewno nie pomagają.

Pandemia stała się przy tym użyteczną wymówką, po której chętnie sięgają przedstawiciele opozycji, dopytywani o konkretne działania, pomysły, plany. „Nie ma teraz realnej polityki” – można usłyszeć

od parlamentarzystów sfrustrowanych faktem, że większość ich aktywności sprowadza się do narad na Zoomie, knowań na WhatsAppie i utarczek na Twitterze.

Jeśli na Wiejskiej myśli się o wyborach, to częściej w skali mikro: w kontekście obsadzania miejsc na wyborczych listach i szans, aby zdobyć z nich mandat, a nie tego, jak to wszystko posklejać, aby na końcu owe mandaty przełożyły się na rzeczywistą władzę. – *Jestem załamana postawami parlamentarzystów, którzy głównie mają z tyłu głowy, że trzeba zająć dobre miejsce na liście, aby dostać się na kolejną kadencję. Tacy ludzie boją się postawić partyjnym władzom, nawet jeśli widzą, że te źle działają* – przyznaje posłanka PO. Nie ona jedna zwraca uwagę na to, ile w codziennym życiu parlamentarnym waży świadomość tego, kto układa listy wyborcze. Wiejska to przecież także zakład pracy. Jeden z ważnych polityków z nowych władz PO, opowiadając kiedyś w rozmowie z POLITYKĄ o tym,

Platforma nie ma długofalowego planu, pozycja Budki jest słaba, co sam potwierdza w wywiadach...



co zgubiło Grzegorza Schetnę, wskazywał m.in. na niezadowolenie działaczy, którzy musieli zrobić miejsce na listach dla kandydatów innych partii. – *Wszyscy są za zjednoczoną opozycją, a w konkretnych, kiedy trzeba się w okręgach poukładać, jest to szalenie kłopotliwe* – mówi dziś inny z członków platformerskich władz. Bo wspólne listy z natury rzeczy wymuszają ustępstwa.

Ale na razie temat formowania opozycyjnego frontu – a przynajmniej stworzenia dwóch wyborczych bloków, co byłoby rozwiązaniem i rozsądnym, i bezpiecznym – nie stoi szczególnie wysoko w bieżącej agendzie. Większość naszych rozmówców z władz PO bagatelizuje ryzyko wcześniejszych wyborów, tłumacząc, że prezes PiS próbuje tylko nastraszyć fikcyjnych mu koalicjantów z Solidarnej Polski i Porozumienia; że to gra do wewnątrz ZP, bo Kaczyński dobrze pamięta, jak sparzył się w 2007 r. Według PO opozycja ma czas, by się poukładać, a teraz ważniejsze jest, aby partia zorganizowała się wewnętrznie i „odzyskała pozycję hegemonu po opozycyjnej stronie”. Bo wielka mijanka z ruchem Hołowni staje się faktem – to już nie wypadek przy pracy albo krótkotrwałe wahnięcie sondaży; kolejne badania dają Polsce 2050 średnio kilka punktów procentowych przewagi nad KO.

Taka sytuacja rozbudza ambicje i nie sprzyja rozmowom o wspólnych listach, ponieważ dla Hołowni i jego właśnie zarejestrowanej partii to szansa, aby przejąć schedę po opadającej z sił Platformie i zagospodarować polityczne centrum.

Madera z misiem

Platformersi w większości zaklinają rzeczywistość: porównują Hołownię do Petru, Palikota lub Biedronia; wskazują, że „efekt świeżości szybko minie”, a nowy ruch podobnie jak inne nowe inicjatywy w końcu oklapnie. Już zresztą dostrzegają „zadyszkę” Hołowni. – *Na focusach wychodzi nam, że wyborcy spodziewali się po nim czegoś więcej* – mówi członek zarządu PO. Inni podśmiewają się, że Hołownia już zaliczył swoją „Maderę” – jak nazywają zamieszanie wokół szczepienia 44-letniego polityka, który wykrył błąd systemu, po czym pochwalił się „dyplomem dzielnego pacjenta” z misiem... Jednak Michał Kobosko, formalnie przewodniczący partii Hołowni, odsyła do sondażu IBRiS, z którego wynika, że większości Polaków to nie obeszło, a negatywnie oceniali to w sumie 27 proc. respondentów. – *Im dłużej PO będzie nas lekceważyła lub próbowała traktować z góry, tym lepiej dla nas. Robimy swoje, budujemy się. Zgłasza się do nas też dużo osób z Platformy rozczarowanych albo stylem przywództwa Borysa Budki, albo skreśleniem partii w lewo, jak to określa jej wielu starych członków* – przyznaje Kobosko.

W przeciwieństwie do PO w PL2050 liczą się z możliwością wcześniejszych wyborów i podkreślają, że „trzeba się na taką ewentualność ubezpieczyć”. – *Od kilku tygodni wrzuciliśmy w organizacji wyższy bieg. W każdym regionie mamy pełnomocnika do budowania partii i list wyborczych oraz załóżki struktur, które obudujemy ludźmi. A z drugiej strony pracujemy nad pełną ofertą programową* – opowiada przewodniczący partii Hołowni. Nowych ludzi szukają m.in. wśród samorządowców.

Jest energia, optymizm i trochę neofickiej gorliwości nowych partyjnych nabytków. Ale początki zawsze takie są. Z czasem coraz mocniej zaczną pewnie dawać o sobie znać różnice poglądów, bo Polska 2050 jest konglomeratem różnych osobowości i doświadczeń: od konserwatystów po lewicowców. W dodatku sam lider polityki dopiero się uczy, także na błędach. Stoi za nim doświadczony polityczny obserwator, jednak dwuwładza, jaką formalnie przypieczętowano, stanowi potencjalne źródło problemów – Kobosko przewodniczy partii Polska 2050 Szymona Hołowni, natomiast

Hołownia jest prezesem stowarzyszenia. To specyficzna forma zarządzania, bo – jak słyszymy – decydujący głos i tak ma Hołownia. Niektórzy działacze dopatrują się w tym nawet analogii do początków PO, kiedy Tusk ze Schetyną działali w tandemie: jeden był frontmanem, drugi pilnował partii – i wszystko sprawnie funkcjonowało. Tyle że długo to nie trwało, a obaj politycy na wiele lat się skłócili.

Strzelając do śpiącego lwa

U Hołowni mają świadomość, że trwałe prześcignięcie PO w sondażach spowoduje, że to oni będą decydować o kompozycji opozycyjnej układanki. Ale też że ich szeregi będą dzięki temu pęcznić, bo ludzie będą szukać nadziei na pokonanie PiS i możliwości wejścia do Sejmu.

– *Asia* [Mucha – red.] *opowiada z zachwytem, jak to tam u nich wszystko sprawnie funkcjonuje, każdy za coś odpowiada. A u nas? Nie ma jakiegóż długofalowego planu, pozycja Budki jest słaba, co zresztą sam potwierdza w wywiadach... A jak lider jest słaby i traci powagę, to nie utrzyma ludzi – zżyma się posłanka PO. Morale w KO od dawna nie jest najlepsze, każde środowisko zajęte jest sobą i ma własny pomysł na funkcjonowanie partii, a wspomniany wywiad Budki dodatkowo rozdrażnił platformersów: na piątym piętrze Czytelnika, gdzie urzęduje szef partii, przez kilka dni wrzało. Sam przewodniczący enigmatycznie tłumaczy: – Powiedziałem prawdę. A przy okazji rozwiązało się kilka spraw, niektórzy się ujawnili.*

Ten „przypływ szczeroci” przewodniczącego odebrano głównie jako próbę „odstrzelenia” ruchu Trzaskowskiego i pokazania jego inicjatorom miejsca w szeregu. – *W partii gołym okiem widać konflikt na górze. Może nie tyle Borysa i Rafała, ile ich zapleczy* – tłumaczy jeden z członków zarządu PO. Przy Budce stoją głównie Marcin Kierwiński, Robert Kropiwnicki i Jan Grabiec. Z kolei Trzaskowskiego wspierają Sławomir Nitras, Agnieszka Pomaska i Cezary Tomczyk. Ta druga ekipa gra na projekt szerszy niż sama Platforma: korzystający z popularności Trzaskowskiego, podbudowany oparciem samorządowców i wolontariuszy, bardziej progresywny światopoglądowo; nie na kontrze do PO, ale obok. Dla wielu działaczy Platformy to dość mglista konstrukcja.

Nerwowy ruch Nitrasa, który miał być odpowiedzią na atak ze strony Budki, zaognił sytuację. Poseł upublicznił bowiem wykaz nazwisk pełnomocników, którzy mają budować struktury Wspólnej Polski w regionach – w ostatniej chwili dociążony nazwiskami prezydentów miast. Niektórzy o nowej funkcji dowiedzieli się dopiero... z gazet. Przy okazji też skłócono

regionalne struktury Platformy – jak w Warmińsko-Mazurskiem czy w Opolu, gdzie pełnomocnikiem został Arkadiusz Wiśniewski, prezydent miasta skonfliktowany z tamtejszym baronem PO Andrzejem Bułą. Ale i znany z tego, że w 2014 r. ratusz pomógł mu zdobyć Patryk Jaki.

Wyraźnie widać, że Trzaskowski nie chce przejąć sterów w Platformie, choć wielu go do tego namawia. A ostatnio nieoczekiwanie zaczęli go wspierać nawet schetynowcy. Ludzie związani ze Wspólną Polską tłumaczą, że były przewodniczący upatruje w tym swojej szansy na powrót do gry – bo decyzją Budki jest dziś tylko szeregowym posłem. Uważają jednak, że Trzaskowski nie powinien się decydować na wewnętrzną wojnę, ponieważ „spór Rafała i Borysa skończyłby się katastrofą, także dla całej opozycji”. Stąd też w pierwszym wywiadzie po wyjściu ze szpitala Trzaskowski dość wymijająco odnosił się do pytań o stwierdzenia Budki, podkreślał, że to „burza w szklance

U Hołowni liczą się z wcześniejszymi wyborami i podkreślają, że „trzeba się na to ubezpieczyć”.



wody”, a ich „współpraca układa się bardzo dobrze” (TVN24).

Mimo to stronnicy Budki szukają dodatkowego wzmocnienia, sondując polityków skupionych wokół tzw. zespołu Frycza. Formalnie to jeden z zespołów parlamentarnych (ds. Naprawy Rzeczypospolitej imienia Andrzeja Frycza-Modrzewskiego), skupiający 36 osób, powołany m.in. przez byłego szefa klubu PO Sławomira Neumanna, a także Tomasza Siemieniaka (niedawnego konkurenta Budki w walce o szefostwo partii) oraz Joannę Kluzik-Rostkowską. W praktyce to grupa kontestatorów obecnej linii partii, wypracowująca własne propozycje programowe. Ostatnio doszedł tam także pomysł na nowy partyjny statut. – *Powinniśmy przyjąć inne zasady działania partii, inną formułę przywódczą, bardziej kolegialną. Platforma szyta na miarę Tuska dziś absolutnie się nie sprawdza. Kompetencje przewodniczącego, zarządu i innych ciał zupełnie nie przystają do osobowości ludzi, którzy teraz zarządzają PO. Nie chodzi o zmiany personalne, ale np. o zmniejszenie zarządu, wprowadzenie rady politycznej czy też formalne umożliwienie funkcjonowania frakcji, aby konserwatyści mieli swoją przestrzeń* – tłumaczy Sławomir Neumann. To może być koszt, który Budka

będzie musiał ponieść, aby utrzymać się przy władzy.

Logo 276

PO wciąż ma największe zasoby: tak strukturalne, jak i finansowe. Jeśli jednak nie odzyska sondażowego pierwszego miejsca w opozycji, trudno będzie jej układać opozycyjny front pod swoje wojska. Jedna opozycyjna lista wydaje się dziś być mrzonką. Trzaskowski z Budką na początku roku podjęli próbę przepakowania projektu Zjednoczonej Opozycji – który w poprzedniej kadencji lansował Schetyna – w odświeżone szaty tzw. Koalicji 276, ale niewiele z tego wynikało. Zaproponowali sojusz w przynajmniej kilku fundamentalnych sprawach (jak naprawa sądownictwa), który w przyszłości pozwoli odrzucać weto Andrzeja Dudy; wrzucili nowy hasztag w media społecznościowe, założyli stronę internetową i na tym się skończyło. Także dlatego, że potencjalni partnerzy z dużym sceptycyzmem zareagowali na projekt – narzekali, że ich wcześniej nie poinformowano, i wyzłościłi się z powodu „podpierniczenia logo” ich partii (Adrian Zandberg). To, że jakiś czas później udało się opozycji uzgodnić wspólne kandydata w wyborach na prezydenta Rzeszowa, wydaje się raczej wyjątkiem od reguły. Ale tu sprawa była prosta: popularny lokalnie Konrad Fijołek nie jest związany z żadną partią, więc ewentualna porażka nikogo nie obciąża. Druga strona medalu jest jednak taka, że kandydat w dużej mierze kampanię prowadzi sam.

Niezależnie od tego, kiedy będą wybory, już czas, aby liderzy opozycji zaczęli dogadywać szczegóły. Montowane na chybkę sojusze nie będą ani trwałe, ani autentyczne. Dwa opozycyjne bloki wydają się optymalnym scenariuszem, także dlatego, że PiS nie jest już taki silny jak kiedyś, a koalicja ZP obumiera. To jednak nie będzie prosta układanka partyjnych sztyldów, bo wśród działaczy już słychać, że: PO nie może iść w bloku z samą Lewicą; Hołownia nie powinien blokować się z Platformą (zburzyłoby to mozolnie budowany mit „nowej politycznej jakości”); no a Razem nigdy nie dołączy do liberałów... Możliwe więc, że powinno dojść do przegrupowania w oparciu o inne kryteria niż partyjne barwy. Rafał Trzaskowski od jakiegoś czasu lansuje tezę, że: „Nie ma już lewicy, centrum i prawicy. To podział ze starego świata”. Także Michał Kobosko zwraca uwagę, że wyborcze bloki opozycji mogą się formować inaczej niż do tej pory. Funkcjonują już nawet określenia: „blok szymonowy” i „blok rafałowy”. Potencjał jest, wolę trzeba wykrzesać.

MALWINA DZIEDZIC